

Małgorzata Musierowicz – *Jakoś nie można rozstać się z Zambrzyckim*

„W drodze”, nr 12 z 2008 r.

Znów poznałam kogoś miłego – i to znów za pośrednictwem Czytaczy – ludzi, należących do kręgu wtajemniczonych, rozumiejących się bez słów, wymieniających namiętne informacje o książkach jak o bliskich, kochanych istotach. Mam dziwne szczęście do tych ludzi – i wciąż mnie spotykają z ich udziałem fascynujące przygody. Najnowsza dotyczy Władysława Zambrzyckiego (1891–1962), człowieka szczególnie uroczego, moim skromnym zdaniem – jednego z najlepszych polskich pisarzy, zepchniętego na ubocze za czasów PRL, lecz obecnego stale w pamięci wdzięcznych czytelników i w ich bibliotekach.

Pamiętam *Naszą Panią Radosną*, stojącą na półce z ulubionymi książkami mojego brata – wtedy jeszcze licealisty. Pamiętam *Kwaterę Bożych Pomyleńców* na nocnym stoliku pani Anny Turowiczowej. Pamiętam, jak profesor Raszewski zachwycał się *Pamiętnikami Filipka*. A Maria Dąbrowska, w liście do Janiny Oryźny (19.07.1962) pisała:

„Z wielką żalością zauważyłam, że nie podziękowałam p. Zambrzyckiemu za »Kwaterę Bożych Pomyleńców«, którą otrzymałam z Jego dedykacją.

Nigdy się więc już nie dowie, że jest moim ulubionym autorem, że książki jego czytam po kilka razy, uwielbiam jego lekkość, żartobliwość, życzliwy krytycyzm, uroczą fantazję, mądrość i wiedzę, podawaną z tak nieopisanym wdziękiem.

Zazdroszczę mu po prostu rodzaju talentu i chciałabym tak umieć pisać”.

Tak, te książki się kocha i – jak napisała mi ostatnio młoda Czytaczka, której poleciłam *W oficynie Elerta* i która po skończonej lekturze natychmiast pobiegła do biblioteki po inne powieści tego autora – „jakoś nie można rozstać się z Zambrzyckim”. Żywa, miła jego myśl, urok dobroci, dyskretnie zaznaczona głębia i metafizyczny „oddech”, ciepło i wnikliwość obserwacji, bogactwo pomysłów i szczegółów, dystans i powściągliwość inteligentka, doskonały smak, skłonność do żartów, kawałów i kpinek, wciąganie czytelnika do literackiej zabawy – jakże to wabi i cieszy! Od pierwszej stronicy każdej z książek Zambrzyckiego czytelnik zostaje ogarnięty szczególną aurą osobowości tego twórcy, i nie jest to żadne złudzenie. On sam – wedle słów pani Marii Pajzderskiej, siostrzenicy pisarza – miał powiedzieć: „A po cóż mam pisać autobiografię, całe moje życie jest w moich książkach!” – i tak jest faktycznie, jeśli nie zawsze w warstwie dosłownych faktów, to na pewno w czymś głębszym i prawdziwszym niż fakty.

Czytelnicy, wdzięczni za darowany im uśmiech i radość życia, wiedzą też dobrze, że powieści Zambrzyckiego traktują w gruncie rzeczy o sprawach arcyważnych, o kwestiach zasadniczych; widzą, że książki te pisał człowiek wielkiej wiedzy i mądrości, patriota, humanista i przenikliwy obserwator, wielbiciel życia we wszelkich jego przejawach – od kształtujących je codziennych drobiazgów po targające nim wielkie procesy historyczne. Ten obserwator jednak – co jest szczególnie pociągające – nigdy nie staje po stronie zła, nawet po to, by je oglądać i piętnować! Spogląda na nie ze strony dobrej, ocenia, lecz z dystansem, nie

daje się złu wciągnąć w zwarcie i nie przyjmuje jego metod ani punktu widzenia. Wydaje się nawet, że temu złu – współczuje.

Powieść *W oficynie Elerta* pisał Władysław Zambrzycki w latach pięćdziesiątych, właściwie – od początku „do szuflady”. Oparta na autentycznym dokumencie (studium Ludwika Kubali *Poselstwo Puszkina w Polsce*), książka ta nie miała szans na ukazanie się w rządzonej przez komunistyczną cenzurę świecie PRLu. W wywiadzie prasowym Zambrzycki poinformował tylko o ukończeniu pracy nad *Oficyną*. „Chciał wyryć po prostu ślad bibliograficzny” – pisze w posłowie *Od redakcji* Przemysław Cieślak, warszawski antykwariusz, wielbiciel książek Zambrzyckiego. Maszynopis, pieczołowicie przechowany przez rodzinę autora, został ujawniony już w wolnej Polsce i pan Cieślak własnym sumptem mógł wydać niepublikowaną nigdy dotąd powieść *W oficynie Elerta* (wyd. Antykwariat Książek, www.cytat.pl, Warszawa, 2007).

Tym samym uruchomił ciąg nowych wydarzeń. Odezwali się inni wielbiele- Czytaczę, oferując pomoc; *Kwaterę Bożych Pomyleńców* wznowił pan Cieślak (po raz pierwszy w jej historii – bez ingerencji cenzury) już dzięki ich mecena- towi. Nagle coś się stało – (*habent sua fata libelli*) – ruszyła lawina zain- teresowania, dawni i całkiem nowi czytelnicy popadli w ożywienie i oto pani Ma- ria Pajzderska może napisać z satysfakcją:

Ostatnie dwa lata są dla mnie pełne radości. Została wydana »Oficyna Elerta« i »Kwatera Bożych Pomyleńców«. Biorę żywy udział w przywracaniu pamięci o Nim.

Lektura powieści *Woficynie Elerta – luźne zapiski księgarskie z roku 1650* to czysta przyjemność, nieoczekiwanie tak wciągająca, że nie można się od niej oderwać. Warszawa z czasów Jana Kazimierza wydaje się bardzo podobna do dzisiejszej („Przeszłość jest dziś, tylko cokolwiek dalej” – przypomina pan Cieślak w posłowie), Polska – tak jak dzisiejsza, targana klótniami, źle rządzona i słaba, a Rosja – cóż, ona, wieczna, nie zmieniła się po prostu nigdy. Powieść, złożona z zapisków fikcyjnego literata oraz fikcyjnego księgarza istniejącej kie- dyś naprawdę warszawskiej oficyny wydawniczej, skrzy się od złośliwości i aluzji, jest zabawna, mądra i pełna celnych obserwacji. Już samo kontrastowe zetknięcie dwu cywilizacji, dwu szkół dyplomacji, polskiej i rosyjskiej, nieod- parcie śmieszne i ciekawe, wystarczyłoby zupełnie na materię powieści, a tu jesz- cze jest mnóstwo literackiej i historycznej zabawy, bogactwo szczegółów oby- czajowych, a przede wszystkim – wspaniałe poczucie odwiecznej wspólnoty du- cha ludzi, zawodowo związanych ze słowem.

Od chwili wynalezienia pisma wspólnota ta musiała stać się tym, czym pozos- tała na przestrzeni wieków: obszarem zupełnej, prawdziwej, nieskrępowanej wolności. To dlatego tak zaciekle atakowana jest przez każdy autorytaryzm i przez każdego z jakże licznych cenzorów myśli. Żadna chyba dziedzina ludzkiej twórczości nie doznała tylu ataków i prześladowań, co ta związana ze słowem, zwłaszcza – drukowanym. Nie przypominam sobie, by cenzorzy myśli naka- zywali palić partytury, obrazy, rzeźby czy filmy. Zamienianie książek w popiół i dym – symboliczna egzekucja – zdarzało się nieraz w historii i zawsze było mroczną zapowiedzią nadchodzących czasów niewoli.

W Warszawie Jana Kazimierza Rosjanie wrzucają na Rynku do ognia karty wydarte z polskich książek. Ściślej: wrzuca je w ogień zakapturzony kat. Milczący widzowie przyglądają się ponuro tej ceremonii; ktoś płacze. W powietrzu wisi nie tylko dym, ale i przeczucie nadciągającej klęski.

– *Zabrania się kupować... zabrania się czytać... Kto by posiadał te książki, ma je zniszczyć...* – to trębacz odczytuje proklamację królewską.

– *Nie dość, że kat zhańbił książki, to jeszcze otrąbił moje imię* – mówi Gorczyń, autor, stojąc na boku, podczas gdy Libicki, sekretarz kancelarii królewskiej, pieczętuje okaleczone i opakowane w płótno egzemplarze i wyjaśnia:

– *Pod królewską pieczęcią pojedą do Moskwy.*

Rynek wciąż milczał. Ach, pomyślałem sobie, żeby choć zaczęto złorzeczyć, żeby choć rozruch jaki wynikł. Ta cisza przypomina obrzęd pogrzebowy.

Zabawna, pogodna powieść kończy się obrazem ponurym i zapowiedzią klęski. I trudno nie myśleć z gorącym współczuciem o autorze tej książki, obdarzonym tak wyjątkowym talentem, a przez nowy ustrój zepchniętym na margines, piszącym – z pełną świadomością – do szuflady. Lecz zarazem obraz ten napawa otuchą: Władysław Zambrzycki, niezłomny optymista, wierzył w wolność. Pisał do szuflady, bo musiał być przekonany, że wolności zakazać nie można, zaś *scripta manent*, lub też, wedle słów Bułhakowa – „rękopisy nie płoną”.

I rzeczywiście!